

„Wielka Libia”, cz. 3 – prace geodezyjne, inspektorzy libijscy

## Co kraj to obyczaj

Praca z dala od domu, w odmiennych niż u nas warunkach, z ludźmi o zupełnie innych zwyczajach, rodziła wciąż nowe wyzwania. Ale realizacja kontraktu po raz kolejny zawisała na włosku, kiedy naszymi działaniami zainteresowały się władze rewolucyjne, stawiając pytanie o ich sensowność.

**Jacek Kmiecik**

**W** pasie nadmorskim i w rejonie większych miast stabilizację znaków poprzedzał szczegółowy wywiad dla wyszukania odpowiedniej lokalizacji. Ale w ogromnej większości na terenach pustynnych repery ziemne w postaci kawałka rury azbestowo-cementowej



Jacek Kmiecik, Krzysztof Czyż i Krzysztof Stasiak wdrażają pomiary kątowno-liniowe, Al-Hamada al-Hamra

wypełnionej betonem były zakładane wzdłuż szlaków po prostu w równo odmierzonej odległości co 5 km. Wła-

ściwy punkt wysokościowy był materializowany przez pionowo osadzony bolec metalowy.

### ● Pod ścisłym nadzorem

Stabilizacja znaków podlegała kontroli wykonywanej dość szczegółowo przez inspektorów libijskich. Prawdopodobnie był to efekt niespodziewanej interwencji wyższych władz rewolucyjnych, które zakwestionowały sens – jak to określono – brukowania pustyni nikomu niepotrzebnymi znakami geodezyjnymi. Pracownicy SDL (Surveying Department of Libya), przestraszeni ewentualnymi konsekwencjami zerwania kontraktu, w tym utratą wygodnych miejsc pracy, zgłosili się do nas i wspólnie opracowaliśmy memorandum uzasadniające konieczność kontynuowania prac. Oprócz argumentów merytorycznych powołaliśmy się na możliwość ustalenia lokalizacji osób wzywających pomocy w wypadku np. awarii samochodu na pustyni, jeżeli podadzą cechę znaku, przy którym się znajdują. Ten argument został przyjęty, ale miał dość bolesne konse-



Autor i prof. Živkovic, dalej El Ghali (trzeci od lewej) ze studentami na bazie koło Gharianu



kwencje: wprowadzono obowiązek określenia współrzędnych X, Y dla każdego reperu.

Ze strony arabskiej opiekowali się naszymi pracami tak zwani supervisorzy. Najczęściej miałem do czynienia z trzema z nich o imionach: El Ghali, Tahyr i Idrys. Wszyscy trzej, podobnie jak prawie cała kadra techniczna SDL, legitymowali się dyplomami wyższych uczelni technicznych w USA. Wysyłani tam po ukończeniu libijskich szkół średnich i wyższych studiowali często dwukrotnie dłużej, niż przewidywał normalny tok studiów. Nic dziwnego, niejeden mieszkał w USA razem z żoną i dziećmi, a wracając przywoził całe kontenery dobytku, w tym luksusowe amerykańskie samochody.

## • Tajemnica El Ghalego

Naszym pierwszym supervisorem był El Ghali. Szczupły, niewysoki, nerwowy, miał zainteresowania bardziej humanistyczne niż techniczne. Inteligentny i kulturalny, zwykle nosił ze sobą jakąś niezłą książkę po angielsku. Razem zaliczyliśmy trzy albo cztery dalsze podróże służbowe, w Trypolisie również wspólnie załatwialiśmy wiele spraw. Zauważyłem, że zawsze przed wejściem do siedziby jakiegoś dowódcy wojskowego czy policyjnego El Ghali był bardzo zdenerwowany. Kładłem to na karb wrodzonej nieśmiałości, trochę dla mnie niezrozumiałej, ponieważ nasze prace miały znaczenie dla państwa libijskiego, więc powinien wchodzić do różnych władz bez kompleksów, a nawet z poczuciem ważności własnej misji i zadań do spełnienia.

Po kilku miesiącach współpracy El Ghali znikł. Przestał przychodzić do nas z różnymi pytaniami, na kontrole terenowe zamiast niego wyjeżdżali inni inżynierowie z SDL. Dopiero po roku w czasie długiej wspólnej jazdy z następnym supervisorem Tahyrem dowiedziałem



Na pustyni koło Jaghbubu Tahyr i autor znaleźli skamieniałą palmę

się, że El Ghali wylądował w więzieniu, prawdopodobnie z powodów religijnych. Tahyr niechętnie wyjaśnił, że El Ghali publicznie wypowiadał się przeciwko obowiązkowemu w Libii prawu lokalowemu (podobno zrownanemu na naszym prawie kwaterunkowym za komunę). Prawo to stanowiło, że jeżeli ktoś ma kilka domów, to sam może zajmować tylko jeden, a pozostałe powinny być udostępnione tym, którzy nie mają gdzie mieszkać. El Ghali powoływał się przy tym na Koran, z którego wynika, że jeśli ktoś ma dziesięć domów, to widocznie Allah tak chciał i żadnego zabierać nie wolno. Przypuszczałem, że bez względu na kwalifikację (przecież w sumie przestępstwo nie było wielkie) El Ghali wkrótce opuści więzienie, ale mijały miesiące, potem lata, a jego trzymano nadal. Nie postawiono mu żadnych formalnych zarzutów, nie było rozprawy, a w końcu po jakimś czasie w więzieniu powiedziano jego ojcu, aby nie przynosił już synowi paczek, co było sygnałem, że nie żyje.

Przez następnych kilka lat przy różnych okazjach dopytywałem się znajomych Libijczyków, czy może wyjaśniła się sprawa El Ghalego, ale nikt nic na ten temat nie wiedział. Najbliższe prawdy były chyba spekulacje, według których został zamordowany w więzieniu w 1983 lub 1984 roku w trakcie generalnej rozprawy Kadafiego z opozycją, gdy dochodziło nawet do publicznych egzekucji transmitowanych przez miejscową telewizję. Dla zastraszenia młodzieży na uniwersytecie w Trypolisie ustawiono na kortach tenisowych prowizoryczną szubienicę i powieszono sześciu studentów wyciągniętych z aresztu. Nasz znajomy pracujący na uniwersytecie opowiadał, że w czasie egzekucji jeden z przymusowo ściągniętych widzów rozpoznał pośród skazańców swojego brata i zrozpaczony usiłował protestować, ale został na miejscu zastrzelony.

## • Tahyr lubił wygody

Drugi supervisor – pełne imię Tahyr al-Idrys – fizycznie z Arabem miał niewie-

le wspólnego. Wysoki, czarnoskóry, z szerokim nosem i grubymi wargami był typowym przedstawicielem pierwotnej, negroidalnej rasy zamieszkującej południe Libii. Tahyr najczęściej ze wszystkich supervisorów jeździł na kontrole terenowe, rzeczywiście sprawdzając stan zakładanych przez nas znaków geodezyjnych. Był pobożnym muzułmaninem i często w podróży, widząc meczet, prosił o zatrzymanie i szedł się pomodlić. Nie przeszkadzało mu to jednak wylądzać od Geokartu różne świadectwa, a przede wszystkim kolejne delegacje do Polski, gdzie trzeba było opłacać mu utrzymanie i hotel (najlepiej Forum; gdy kiedyś nie było tam miejsc i wylądował w Europejskim, zrobił awanturę i po dwóch dniach trzeba go było przenieść).

W Libii już podczas drugiej podróży zaprotestował przeciwko marnemu wyżywieniu, jakim podejmowały nas brygady polowe, nie przyjmując do wiadomości, że na pustyni trudno jest zorganizować bardziej wykwintne posiłki. Po radiowych uzgod-



Naftowy kamp Samah, na którym polscy geodeci z libijskimi inspektorami przeczekali burzę piaskową

nieniach z kierownictwem kontraktu zapadła decyzja, aby dobierać trasy w sposób umożliwiający supervisorom noclegi w hotelach i – przynajmniej częściowo – jadać w restauracjach. Koszty rosły, ale lepiej było z oficjalnymi przedstawicielami zleceniodawcy nie zadzierać.

Tahyrowi zaproponowano kiedyś stanowisko przewodniczącego komisji planowania w rodzinnej miejscowości Brak. Była to bardzo odpowiedzialna funkcja, podobno nawet zaszczytna. Komisje te dysponowały państwowymi pieniędzmi przeznaczonymi na rozwój danego regionu, a w Libii były to gigantyczne kwoty. Dostałby wysokie wynagrodzenie, służbowy samochód i obszerny dom, co w jego sytuacji powinno być atrakcyjne, bowiem miał żonę i pięcioro dzieci, a mieszkał wraz z bratem i jego rodziną w niewielkim, parterowym domku. Tahyr jednak odmówił – z Trypolisu nikt dobrowolnie nie chciał wyjechać, nawet na tak korzystnych warunkach.

## • Gościnnie Idrys

Ostatni z trójki – Idrys – był dobrodusznym grubaskiem i nigdy nie stwarzał nam żadnych problemów. W teren jeź-

dził rzadko, bo oprócz pracy w SDL miał dodatkowe zajęcia jako nauczyciel w technikum geodezyjnym. Podobno pochodził z bogatej rodziny; rzeczywiście jeździł luksusowym mercedesem, ale dom, choć dostatni, bogactwem się nie wyróżniał. Byłem u niego przy okazji przekazywania jakichś materiałów. Mieszkał w parterowym budynku ze sporym ogrodem niedaleko od centrum. Podjął mnie obiadem przygotowanym przez żonę. Kolejne posiłki do pokoju wnosił sam, dopiero na końcu zdecydował się przyprowadzić wyraźnie onieśmiałoną żonę i poznać nas ze sobą. Mówiła trochę po angielsku, ale nie długo rozmawialiśmy, po kilku zdaniach wycofała się do kuchni. To i tak był olbrzymi wyłom w tradycji libijskiej nakazującej chronić kobietę za wszelką cenę przed wzrokiem obcego mężczyzny, tym bardziej niewiernego.

Idrys był właścicielem lub współwłaścicielem sadu pod miastem. Kiedyś zaprosił mnie tam. Sad zajmował bardzo duży obszar, a rzędy kwitnących drzew pomarańczowych, migdałowce i śliwy po zakurzonej i upalnym Trypolisie wydawały się oazą świeżości i spokoju. Space-

rowaliśmy chyba z godzinę, obejrzelśmy zabudowania gospodarcze, wypiliśmy napoje chłodzące. Wyjeżdżając, obiecałem Idrysowi, że na pewno nie raz go odwiedzimy. Nie złożyło się, nie byliśmy tam nigdy więcej, ale urok tego miejsca pamiętam do dziś.

## • Burza piaskowa

W połowie stycznia 1985 r. Tahyr i Idrys postanowili skontrolować repery w rejonie pól naftowych między Jalu a Zellah. Dojechalibyśmy do stacjonującej tam brygady Mieczysława Jaskólskiego, który przez cały dzień obwoził nas po pustyni landroverem. Silny wiatr, w ciągu dnia kłujący pojedynczymi drobinami w odsłonięte części ciała, pod wieczór stał się porywisty, aż bujało samochodem. Jednocześnie w powietrzu unosiło się coraz więcej pyłu i drobnego piasku, ograniczającego widoczność do kilku, może kilkunastu metrów. Zapadła ciemność. W światłach samochodu nie było widać nic oprócz fal piaskowej nawałnicy, zwanej po arabsku *gibli*. Sytuacja stawała się dramatyczna, gdy więc zauważyliśmy jakieś światła, Idrys i Jaskółski chcieli tam pojechać i prze-

czekać burzę. Jednak Tahyr upierał się, żeby jechać dalej, bo do obozowiska mieliśmy tylko 50 km. Nie ujechaliśmy jednak nawet kilometra, gdy dogonił nas terenowy samochód. Umundurowani strażnicy kazali zatrzymać się i zawrócić, dziwiąc się jednocześnie takiej beztroście.

W ten sposób wyładowaliśmy w naftowym kampie Samah. Było to kilka długich baraków mieszczących pokoje hotelowe, stołówkę, świetlicę i jakieś pomieszczenia biurowe. Przywitał nas Amerykanin w kompletnym kowbojskim stroju z kapeluszem na głowie, wielkie chłopskie, uśmiechnięty od ucha do ucha i na dodatek kompletnie pijany. Najważniejsze, że nareszcie byliśmy pod dachem, dostaliśmy pokój, można było wyciągnąć się na łóżku i słuchać wichury szalejącej za oknem. Zaprowadzono nas także do stołówki, gdzie mogliśmy wybierać według gustu: kurczaki pieczone lub smażone, wołowina duszona w sosie albo w postaci kotletów, ewentualnie baranina z rusztu. Do tego sałatki w dużym wyborze i desery. Zwróciliśmy uwagę na te stołówkowe luksusy głównie ze względu na ich kontrast z niezbyt urozmaiconym i często niesmacznym wyżywieniem polskich brygad polowych, co z kolei było wynikiem szukania oszczędności, a także braku sił fachowych (kucharzył tam najczęściej jeden z pomiarowych).

Nawałnica trwała dwa dni, a była tak silna, że nawet przy przejściu z baraku do baraku trzeba było trzymać się poręczy. Gdy wreszcie wiatr zelżał na tyle, że pył nieco opadł i można było rozpoznać drogę, zabraliśmy się stamtąd z wielką ulgą. Już ten krótki okres czasu pozwolił zrozumieć, jak wielkiemu obciążeniu psychicznemu podlegają pracujący tu ludzie i skąd biorą się częste przypadki depresji, chorób psychicznych i samobójstw. Podobno zarabia się bardzo dobrze. Czy jednak koszty nie są zbyt wysokie?

Jacek Kmiecik